

NR 21 (30)

BIBLIOTEKA

2017 PL ISSN 1506-3615

R

E

C

E

N

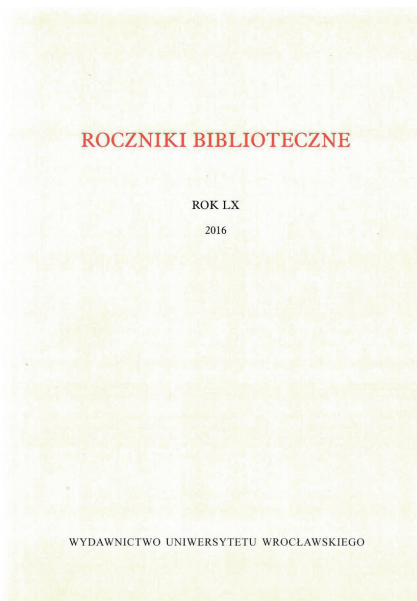
Z

J

E

JACEK WOJCIECHOWSKI

„Roczniki Biblioteczne”, R. LX, 2016, Wrocław:
Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 2016,
s. 410



Dwadzieścia punktowanych czasopism naukowych (??) w obszarze nauk o bibliotece, o książce i o informacji, ponadto garść innych bez punktów, lecz z dużym zadęciem, a są jeszcze kolejne o nieokreślonym statusie: w takim nieogromnym wszak kraju jak Polska to wygląda na bzik. Większości nie czyta nikt, nie jest bowiem w stanie, często zresztą nie ma po co, bo one istnieją tylko dla produkowania punktów, lub dla satysfakcji autorów. Zresztą autorów też brakuje. Nie tak znowu rzadko widuję **te same** teksty, wysyłane do **różnych** redakcji – w porywach pracowitości: pod zmienionymi tytułami oraz z przeredagowanym akapitem wstępnym. Takie praktyki wystawiają

(nie tylko) tym dyscyplinom marne świadectwo, etykę zaś odsyłają do pralni. Powstaje otchłań pozorów i wygląda źle.

Ponadto panorama jest mało klarowna. Periodyki różnią się bowiem częstotliwością emisji, a przecież roczniki oraz kwartalniki nie są ze sobą porównywalne. Co kiedyś, przy okazji „Studiów o Książce”, sygnalizował Radosław Cybulski, lecz nikt go nie słuchał, bo wszyscy *wiedzieli* lepiej. Dlatego pożytki często podfruwają, a czytelność siadała i nadal siada.

Powiedzmy brutalnie, że stać nas na trzy–cztery godziwe roczniki naukowe w tych zakresach oraz na tyleż autentycznie naukowych czasopism o zwiększonej temporalności. Limitacja byłaby więc z pożytkiem dla jakości oraz dla efektów. Ale opowiadam bajki: nikt nie odpuści, bowiem sytuacja uchodzi za wygodną. Punkty, mocium panie!

Natomiast wśród tytułów, które mają niepodważalny wkład w rozwój naszych dyscyplin i nie zeszyły nigdy poniżej poziomu godziwego, poczesne miejsce zajmują wrocławskie „**Roczniki Biblioteczne**”, będące z nami już 60 lat – tak jak również ich sprawca, mianowicie **Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego**. Ta okrągła rocznica została perfekcyjnie wykorzystana do konstrukcji zeszytu właśnie sześćdziesiątego, z umiarkowaną celebrą raczej instytutu niż samego rocznika – ale głównie do opisu dokonań całego polskiego księgoznawstwa oraz bibliotekoznawstwa (w części pierwszej numeru), a także do prezentacji (w drugiej części) niektórych bieżących przedsięwzięć instytutowych. Zwłaszcza trzy pierwsze opracowania są doskonałe. Ale jest też kilka dalszych, wyjątkowo ciekawych.

W moim przypuszczeniu nikomu, kto ma jakikolwiek związek z tymi dyscyplinami oraz/lub z biblioteczną praktyką, nie wolno tego zeszytu przeoczyć. I wprawdzie 250 sztuk nakładu to mniej niż kot napłakał, ale odkryłem, że każdy egzemplarz może przeczytać nawet po kilkadziesiąt osób, więc żadne wykręty nie wchodzą w grę.

Zespół redakcyjny, którym pokierował **Maciej Matwijów**, wypracował wyjątkowo nośną formułę oraz namówił do współpracy wielu zręcznych i kompetentnych autorów, toteż ten zeszycik jest autentycznie wyborny. Nawet jeżeli nie w stu procentach; ale o tym później.

Na start zatem tylko szczypta dziegciu. Otóż za istotną **redakcyjną** niedoróbkę uważam dopuszczenie do infantylizacji oraz do jakościowego pokaleczenia eksplikacji przez niektórych tekstodawców, koszmarnym pisaniem o sobie per *autor/ka* oraz bezosobowym *opracowano, zrobiono* itp. Czyli: ja niczego nie wykonano? Za to należy się przynajmniej wytyk. Oraz wolałbym, żeby tom rocznika, w końcu rokiem sygnowany, ukazywał się w okresie tegoż roku właśnie, a nie w sześć miesięcy po.

Takie niezwykle przedsięwzięcie zawsze wiąże się z jakimś ryzykiem, jak też z koniecznością wyboru i z ograniczeniem rozmiarów zamierzonej panoramy. Pod tym względem nie widzę powodów do istotnych kontrowersji.

Oceny, ewaluacje, opinie są ostrożne i eleganckie, jak przystało na okoliczność para-jubileuszu. Podkreślanie zasług ośrodków wrocławskiego oraz warszawskiego, a także osobistych prof. **Karola Głombiowskiego** i prof. **Krzysztofa Migonia** uzasadnia się bardzo dobrze. Natomiast warto byłoby zrównać jeszcze aplauz dla ośrodka katowickiego. Bo to również bardzo dobry instytut, z rejestrzem osiągnięć nie gorszych, mimo że w eksponowaniu się zachowuje umiar. Dorobek ma wszak poważny.

Równorzędny, sprawozdawczy i dokumentacyjny aspekt tego zeszytu wygenerował prawdziwe oceany nazwisk. Są więc tu wszyscy, a nawet

więcej niż wszyscy. To jest nieomal książka telefoniczna, chociaż bez numerów, albo indeks osobowy, poddany rozmaitym klasyfikacjom przedmiotowym. Inaczej w naszym nadwrażliwym środowisku nie mogło być, bo każdy pominięty popadłby w depresję. Ale nawigacja po tym imiennonazwiskowym monitorze jest trudniejsza niż dookoła przyładka Horn.

Całkowicie karkołomnego zadania podjęła się **Jadwiga Konieczna**, przedstawiając stan i dokonania polskiego bibliotekoznawstwa, z syntetycznym rozpisaniem dorobku na poszczególne ośrodki i z panoramą ogólną. Ale rezultat jest doskonały: to lektura bezwzględnie obowiązkowa.

Trafna i mądra charakterystyka nurtów, zwłaszcza ściśle bibliotekarskiego oraz historycznego, daje dobre wyobrażenie, czym się te ośrodki zajmowały i zajmują, a także zachęca do korzystnych ocen. Dopełnieniem tych rozważań są refleksje na temat kierunku informacyjnego. Jednak w tym akurat zakresie wolałbym zobaczyć nieco staranniejsze rozliczenie ze zmiany obszaru i paradygmatu dociekań, a zwłaszcza kształcenia, bo w końcu problematyka czysto bibliotekarska nawet w nazwach została przesunięta na miejsca rezerwowe.

Z autorskiej eksplikacji może wynikać, że nastąpiło to płynnie, najprzód pośrednio za sprawą *zmatematyzowanego* modelu kształcenia bibliotekarzy, który wszczepiono na trzech uniwersytetach, a potem już: *rozlanej* wszędzie dominacji wiedzy o informacji. W rzeczywistości tak jednak nie było (raptem trzy uczelnie!), a do opinii zakradła się szczypta legendziarstwa. Przykładem: ośrodek krakowski.

Jadwiga Konieczna, w ślad za innym autorem, który też rozpoznał problem z trzeciej ręki a nie z autopsji, uznała ten właśnie profil kształcenia i badań za dominujący w ośrodku UJ. Powiem to oględnie. Uniwersytet to instytucja feudalna i o przedsięwzięciach oraz dokonaniach decydują profesorowie, a nie doktorzy – choćby i z dobrymi pomysłami programowymi – zwłaszcza jeżeli akurat przebywają dłużej w Chinach. Otóż o ujętowskim bibliotekoznawstwie rozstrzygały **historyczne** zainteresowania i analizy profesorów Stanisława Grzeszczuka, Wiesława Bieńkowskiego, Zbigniewa Jabłońskiego, Jana Pirożyńskiego oraz dr hab. Małgorzaty Stolzmanowej – aż do generalnych zmian w całym profilu tych studiów w Polsce.

Być może natomiast wątek krakowski warto było dopełnić wzmianką o szerokim otwarciu się transoceanicznym – na uniwersytet w Buffalo (prof. George Bobinski) – oraz transmorskim: na uniwersytet w walijskim Aberystwyth (prof. Frank Hogg). Ponieważ pierwszym u nas tak długo-trwałym i produktywnym, po PRL-owskiej międzynarodowej ascezie. Ale zagraniczne relacje naszych dyscyplin są w ogóle w całym tym zeszycie sygnalizowane tylko śladowo.

Natomiast jest niemiła wpadka korektorska: coś jak rozgnieciona mucha. Na s. 33 figuruje **Jacek** Ratajewski. Pan prof. dr hab. **Jerzy Ratajewski** nieraz wdawał się ze mną w spory i nie odpuszczał żadnych drobiazgów. Mam więc wyobrażenie, jak skomentowałby ten eksces. Ale Redakcja przecież nie wydrukuję.

Z odmiernej perspektywy, ponieważ teoretycznej oraz historycznej, o naszym **bibliotekoznawstwie** opowiada **Anna Tokarska**, dociekając m.in. istoty średnio zróżnicowanych podejść i definicji. A wszystko w odniesieniu do ośrodków akademickich i ze związłą charakterystyką piśmiennictwa przedmiotowego, skomentowanego zresztą bez nadmiernych cenzurek. W tych rozmaitych stanowiskach zawiera się jednak wspólna opinia (tylko pozornie oczywista), że w sumie jest to nauka o bibliotece. Natomiast jej zakresy bywają już to rozszerzane albo zawężane, stosownie do aktualnej potrzeby; Jerzy Ratajewski dopowiadał jeszcze, że to musi być nauka **stosowana**. Ogólne i szczegółowe o niej opinie ponadto rozbiegają się wówczas, kiedy nawiązują do typologii bibliotek. Relacja autorki jest klarowna i kompetentna, zaś bogate udokumentowanie piśmiennictwa dobrze uzasadnia wniosek, że nie jest (nie była?) to dyscyplina u nas martwa.

Na więcej urozmaiconych poglądów musiała natomiast natknąć się **Irena Socha**, referując istotę oraz zakresy problemowe **nauki o książce**. Przy dobrym bowiem u nas standardzie tej dyscypliny – a jeżeli wraz z socjologią literatury, to (dawniej) świetnym – rozbieżnych sposobów pojmowania jest nie mniej niż dziur w serze.

W większości założeń porządkujące było samo narzędzie, a w porywach nawet konkretnie *kodeksy*, ale to bardzo rozmyte przesłanki, dzisiaj zaś tym mniej stabilne. Poza tym, co ma decydować? Sposób rejestracji treści – jak proponował Krzysztof Migoń – czy jednak w szerszym ujęciu aspekty funkcjonalne, czyli wytwarzanie i użytkowanie, co z kolei było bliższe Janowi Muszkowskiemu i Karolowi Głombiowskiemu. A znów Radosław Cybulski w ogóle posługiwał się (nie własnym) pojęciem systemu książki.

Z czasem wygenerował się nawet paradygmat **kultury książki**, lecz na moje odczucie: niekonkretny i mętny. Zresztą w omówieniu autorskim taki też pozostał.

A swoją drogą – ramy dyscypliny rzeczywiście bywały niekiedy bardziej elastyczne niż guma. Z jednej strony bowiem Janusz Dunin, nie bez racji, lokował w niej jeszcze edytorstwo. Z drugiej zaś nie do końca było i jest wiadomo, jak to wszystko ma się do **treści dzieł** w książkach pomieszczonych. Zwłaszcza że samo książkowe narzędzie też jakieś treści od siebie dodaje. Autorka wprowadza w to rozumowanie konieczny porządek, ale jednak jest to możliwe tylko do pewnego stopnia. Otóż nie wszystko, z powodu *przyrodzonego* (?) zamętu, daje się wyjaśnić do końca.

Zwłaszcza kiedy pojawiają się, konieczne, ale zbyt śladowe, nawiązania do socjologii literatury. No bo już samo pojęcie **literatury** (pięknej) nie pokrywa się z wizerunkiem książki – w dowolnej postaci. A swoją drogą, skoro już takie odniesienie miało w omówieniu miejsce, to warto było pokusić się o rozszerzone sygnały – pokrewnych przecież – dokonań Janusza Lalewicza oraz Stanisława Siekierskiego: były wszak na europejskim poziomie.

W sumie to jest referencja bardzo dobra. Ale mam (znowu) zarzut stylistyczny. Pani profesor pisze o sobie *autorka* i używa sformułowań *przedstawiono, wysunięto*... Pani Ireno: a fe!

Jakość pozostałych w tym segmencie wypowiedzi jest już jednak inna. **Jacek Puchalski** opisał powojenne badania historii bibliotek i bibliotekarstwa w Polsce. Wykonał **ogromną** pracę dokumentacyjną, natomiast eksplikacja jest niestety słabo czytelna. Być może zabrakło dostatecznie klarownego, ale zwięzłego zwieńczenia? Jakkolwiek trafne wydają się sugestie, co jeszcze w tym zakresie należy lub warto zrobić.

Relacja wygląda tak, że przez dół całego tekstu przewijają się przywołania dokumentacyjne, a na część górną składa się komentarz. No więc to bardzo utrudnia odbiór. Ale muszę dopowiedzieć, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak to dałoby się zrobić inaczej. Lepiej zatem przyjąć, że nawet sama przeglądowa sygnalizacja dokonań jest przedsięwzięciem wysoce użytecznym.

Z kolei **Maria Juda** scharakteryzowała powojenne badania dziejów ruchu wydawniczego w Polsce. Zamiar trafny, natomiast już samo przywołanie źródeł budzi wątpliwości, ale przede wszystkim zabrakło klarownej syntezy. Przegląd dokonań jest nadmiernie *wszystkoistyczny* i przesadnie detalizowany, więc pożyteczny tylko częściowo. Nie ma równowagi pomiędzy zbyt uszczegółowioną prezentacją dziejów drukarstwa a charakterystyką innych zakresów. Zbyt intensywnie został wyeksponowany zwłaszcza problem cenzury – tak jakby w PRL-u nic nie wydawano, a tylko *krojono* (więc co?) – akurat w **tym kontekście** mniej istotny; ewentualnie do osobnego omówienia. A już w ogóle nie do przyjęcia są uwagi o piśmie jako o narzędziu komunikacyjnym. Dzisiaj na pewno nie można tego tak charakteryzować. Obraz zatem wprawdzie jest, ale chaotyczny. Przydałoby się lepsze sprobematyzowanie wypowiedzi oraz wykreowanie syntetycznej panoramy ogólnej.

Natomiast z wielką przykrością muszę powiedzieć, że tekst **Anny Grucy** o powojennych badaniach polskich nad książką i jej rodzajami to jednak nieporozumienie. Autorka zna się na bibliohistorii, tymczasem podjęty tu zakres tematyczny najwyraźniej nie jest jej bliski. Widać to już (znowu) choćby w przywołanych źródłach oraz w braku odniesień

do roztrząsań najnowszych, zwłaszcza niebibliologicznych, a te są liczne i ważne. W ten sposób – niestety, wypada powtórzyć – obecnie pisać o tym nie można.

A już całkowicie nietrafne są uwagi o książce dla dzieci i młodzieży (to nie to samo!!), oraz o realizowanych nad nią badaniach. Tym powinni byli zająć się Michał Zając albo Grzegorz Leszczyński, ale nawet nie zostali w tekście przywołani. Wygląda na to, że redaktorzy tomu trochę przysnęli, bo już z porównania z wypowiedzią (tamże) Agnieszki Wandel jasno wynikało, że coś jest nie tak.

Zreferowane w tym omówieniu podziały gatunkowe, nie dosyć że wyrywkowe i chaotyczne, są niepełne, nietrafne i nie kreują żadnego wizerunku. Być może lepiej było pokusić się o precyzyjne wyliczenie **kryteriów** podziału i dopiero potem, porządnie, opisać stan rzeczy oraz stan wiedzy. Ale do tego nie doszło. Na dodatek w tym tekście też są stylistyczne potworki, typu *autorka... coś tam* albo *wykonano* (itp.).

W drugim segmencie tego zeszytu zamieszczone zostały relacje z prowadzonych w instytucie wrocławskim analiz i badań, ale nie jest to żadna chwalebna, lecz produktywna prezentacja. W kilku wypadkach ciekawa i ważna dla wszystkich naszych dyscyplin. Tematyka okazuje się różnorodna i na tę rozległość, a także na jakościowy poziom niektórych wypowiedzi należy popatrzeć życzliwie.

Szczególnie frapujące wydało mi się przypomnienie przez **Małgorzatę Korczyńską-Derkacz** i **Agnieszkę Łuszpak** ważnego w przeszłości rocznika „**Studia o Książce**” (Wrocław 1970–1993) – jakkolwiek w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu i w redakcji rocznika „Biblioteka” sentymenty mogą być zredukowane. Bowiem na czas egzystencji „Studiów o Książce” właśnie „Biblioteka” została tam połączona. Jest zresztą w tym tekście notka, porządkująca losy tych wszystkich roczników: wrocławskich – „Studiów o Książce”, „Studiów o Książce i Informacji, Bibliotekoznawstwie”, oraz jeszcze toruńskiej „Nauki o książce”.

Inicjatorem „Studiów o Książce” i głównym przez lata animatorem był Karol Głombiowski – który zresztą nieustannie dążył do optymalizacji jakościowej, postulaty zaś formułował głośno – a przy nim i po nim Krzysztof Migoń. Środki na rocznik w większości zapewniał resort, przy wsparciu Uniwersytetu Wrocławskiego (o czym jednak wiedział mało kto), zatem na *samej górze* zapadały ostateczne decyzje organizacyjne, nawet co do składu komitetu redakcyjnego. W tekście wprawdzie nikt tego nie zasygnalizował, ale być może ten scentralizowany mechanizm biurokratyczny przyczynił się potem (także) do uśmiercenia rocznika.

Nie bez życzliwej pomocy osób niechętnie spoglądających na wrocławską dominację. Autorki przywołały zawoalowany atak, pomieszczony

w czasopiśmie „Nowe Książki”, akurat anonimowy, jakkolwiek widać *na oko*, że warszawski. Pamięć bywa zawodna, więc stuprocentowej pewności nie mam, ale kojarzę autorstwo z Witoldem Adamcem, którego zainspirował Janusz Ankudowicz. No cóż: zawsze byliśmy rodziną. Ale dopowiem, że o rok wcześniej opublikowałem tamże opinię o „Studiach o Książce”: zupełnie inną¹.

„Studia o Książce” miały mocny autorytet merytoryczny oraz – według miar dzisiejszych – gigantyczny nakład 2 tys. egzemplarzy. Z wycień auterek (jakkolwiek tabele są słabo czytelne) wynika, że przewinęło się tam 116 autorów, nawet kilku z zagranicy (wtedy to był ewenement), zaś najwięcej tekstów opublikował Krzysztof Migoń. Zdecydowanie przeważały publikacje o teorii i metodologii nauki o książce; znacznie mniej, ale w sumie sporo tekstów dotyczyło poza tym czytelnictwa i problemów wydawniczych. Pojawiała się też garść omówień materiałów obcych, o co wówczas było równie trudno jak o mięso w sklepach (bez)mięsnych.

Obecne przypomnienie „Studiów o Książce” jest nie tylko eleganckie, ale może mieć również efekty inspirujące. Zostały bowiem zasygnalizowane teksty, nadal warte namysłu oraz przywołania. Nie jest bowiem tak, żeby ważne i mądre opinie naukowe musiały więdnąć z nastaniem każdej jesieni.

Produktywne refleksje sformułowała **Agnieszka Wandel**, charakteryzując opinie krytyków o książkach **popularnonaukowych** dla dzieci i młodzieży – siłą rzeczy omawiając także podaż i obieg tego piśmiennictwa. Przy okazji zaś wypadło zmierzyć się z wysoce nieklarowną terminologią przypisaną do tej kategorii wydawniczej. Jak się zwał, tak się zwał: mowa w każdym razie o publikacjach odpowiednio zaadresowanych, a rozpowszechniających treści niefikcjonalne.

Kiedyś takie piśmiennictwo ceniono głównie za użyteczność, ale na przełomie XIX i XX wieku wyeksponowały się akcenty światopoglądowe, a walory intelektualne zeszły na dalszy plan, ustępując miejsca nastawieniom emocjonalnym. Popsucie kryteriów miało i taką przyczynę później, że w okresie międzywojennym zajął się tym rodzajem książek gorszy, nawińnie pedagogiczny i parenetyczny nurt opiniodawstwa. No i to powiązało się następnie z redukcją czytelniczego wzięcia. Zresztą – dopowiem – nie tylko u nas².

¹ J. Wojciechowski, *Nie tylko o książce*, „Nowe Książki” 1979, nr 12, s. 83–84.

² I.W. Bałkowa, *Istoria bibliotecznowo diela*, Moskwa 2013, s. 196–197; N. Rubakin, *Nikołaj Aleksandrowicz Rubakin (1862–1946)*, Moskwa 2012, s. 8, 188; Wayne A. Wiegand, *Part of our lives. A people's history of the American public library*. New York 2015, s. 22, 41, 76, 216.

Po wojnie (tak sugeruje Agnieszka Wandel) tę kategorię piśmiennictwa stłamsiła ideologizacja – ale to opinia trafna tylko częściowo. Natomiast po 1989 roku nastąpiło wyraźne odrodzenie. Pojawiło się takich książek mnóstwo i to znakomicie wydanych, czemu towarzyszyła oraz towarzyszy wzmożona uwaga krytyki, a nawet są badania obiegu. Wszystko to zostało zreferowane przez autorkę rzetelnie i ciekawie.

Szczególnie intensywnie chciałbym z kolei zarekomendować wypowiedź **Jakuba Łubockiego** na temat automatyzacji, nie zawsze optymalnej, pochodnych źródeł informacji, ale tak naprawdę: **automatyzacji** komunikacyjnej transmisji faktograficznej w ogóle. To jest w tej chwili – jeżeli pojmowany szeroko – jeden z czołowych przedmiotów naukowej i futurystycznej refleksji, odkurzony i odnowiony inaczej, po okresowym wcześniej spadku zainteresowania. Ważny dla bibliotekarstwa, dla informacji, a szczerze mówiąc, to właściwie dla wszystkiego.

Otóż merytorycznie jest to opracowanie kompetentne, mądre i unikalne. Wypada, żeby przeczytał je każdy. Autor bardzo dobrze wie, o czym mówi, ma własne kreatywne refleksje i potrafi skonstruować spójny pogląd. Jednocześnie zaś należy do tych osób – to akurat rzadkość – które są świadome, że komputery jedynie imitują człowieczeństwo. A to jest konieczny punkt wyjścia do takich właśnie roztrząsań.

Jednak na starcie otworzę puszkę z zastrzeżeniami. Otóż tego doktoranta (!!)

albo nikt eksplikacyjnie nie prowadzi, albo robi to źle, bowiem forma wypowiedzi woła o pomstę do nieba. Oczywiście są tu wszystkie możliwe **bezosobówki** (*napisano, zrobiono*), a nawet pisanie w liczbie mnogiej, zamiast *ja*. Pisać o sobie przez **my** to miał prawo Jan III Sobieski. A na s. 316 jest horror: *born digital*. Co Pan wyprawia? Anglik z Kołomyi? W Polsce, w polskim tomie, tekst adresowany do Polaków, ma być napisany po polsku i w dodatku poprawnie. Po angielsku, to w całości, ale nie tutaj.

To nie jest głupstwo. Dostrzegam spore umiejętności i duży potencjał. Szkoda byłoby to sfajczyć za sprawą narracyjnej nieporadności. Widziałem takich przypadków już sporo i chyba wystarczy.

Drugi wytyk dotyczy natomiast przywołań, niepokojąco mizernych, bo to albo starocie, albo internetowe barachło. **Taki** temat wymaga **bieżącego** śledzenia opinii **poważnych**, więc obecnie wciąż głównie książkowych. Bez istotnego pogłębienia oglądu oraz poszerzenia panoramy nie da się o tym rozmawiać kompetentnie i produktywnie. Chociaż nie upieram się, że wszystkie poniższe sugestie³ należało akurat w tym tek-

³ M.A. Boden, *AI. Its nature and future*, Oxford 2016; M. Flasiński, *Wstęp do sztucznej inteligencji*, Warszawa 2011; N. Ford, *Introduction to information behavior*, London 2015; P. Malak, *Indeksowanie treści. Porównanie skuteczności metod tradycyjnych*

ście uwzględnić. Ale tak czy inaczej, w ogóle bez napiętej uwagi i bez pewnych kosztów (po to są granty) trudno uniknąć banalizacji.

Łubocki, po starannym uzasadnieniu terminologicznym, preferuje w tym zakresie pojęcie **automatyzacji**, zamiast węższego cyfryzacji, w czym na pewno ma rację. W przeciwieństwie do użytego sformułowania *spoteczeństwo informacyjne*, bo nic takiego nie istnieje. Ale to tylko przedbiegi. Najważniejszy jest pomysłowy i wysoce funkcjonalny model strukturalnego podziału źródła informacji. Z pomocą obszarów mikrostruktury, makrostruktury, megastruktury oraz ultrastruktury – szczegóły zostały logicznie i klarownie zreferowane w tekście, z dodatkowym wsparciem bardzo czytelnego rysunku – udało się pokazać schematyczny wygląd i standardowy skład (nie tylko) pochodnego źródła informacji oraz w ślad za tym dookreślić, jakie są typowe błędy, potknięcia i straty w konstrukcji oraz w korzystaniu. To trafia do przekonania.

W rezultacie powstał też rejestr przyczyn rozmywania się ewentualnych pożytków z automatyzacji tych źródeł. To bywa redukcja bądź zanik kategoryzacji oraz porządkowania. W katalogach: brak mikrostruktur. Ponadto – trudności w archiwizacji leksykonów i encyklopedii, przy czym w słownikach jeszcze dodatkowo *terror* schematu hasła. Na co nierzadko nakłada się tzw. *skanmorfizm*, czyli nadmiernie dokładne odtworzenie materiałów pierwotnych w źródłach zastępczych. A poza tym często modelem generacyjnym okazuje się jakiś wtórnik Google-teki całkowicie bezużyteczny.

Tego jest znacznie więcej, toteż wygląda tak, jakbyśmy byli dopiero na początku drogi. Bo chyba rzeczywiście jesteśmy. W tych okolicznościach autorska wyliczanka wydaje się trafna, jest więc bardzo pożyteczna, a przy tym oryginalna. Jakoś nie dostrzegłem podobnych.

Interesujące doniesienie przedstawił także **Maciej Matwijów**, opisując materiały – zasoby oraz nośniki, natomiast treści już w mniejszym stopniu – dokumentujące okresy bezkrólewia w Polsce w XVII i w XVIII wieku. To rzadko nawiedzany obszar tematyczny, wymagający specjalnych umiejętności archiwistycznych oraz badawczych i zakresowej wiedzy historycznej. Z czym autor nie ma trudności, a i referencja jest produktywna. Tyle tylko, że znowu pojawiają się bezosobówki: *zasygnalizowano, przedstawiono*. No to ja już rozwiązano zagadkę, czemu tyle tego jest w całym tym tomie.

i automatycznych, Warszawa 2012; R. Susskind, D. Susskind, *The future of the professions. How technology will transform the work of human experts*, Oxford 2017; *The knowledge future: intelligent policy choices for Europe 2050*, Brussels: European Union, 2015 [dokument elektroniczny].

Kolejne dwa teksty umieściłbym na nieco niższej półce jakościowej, ale są godziwe i dostarczają sporo wiadomości – już to o funkcjonowaniu bibliotek szkolnych bądź na temat obiegu książek. Natomiast – to już nudne – w obu powtarzają się te same stylistyczne protezy: *objęto, zadba-no*. Prawda jest taka, że ja się już *ziryutowano*.

Renata Piotrowska, opierając się na ankietowych wypowiedziach 244 nauczycieli, próbuje wysondować ich opinie o edukacyjnej ofercie bibliotek szkolnych. Próba jednak jest nikła, reprezentatywność nieznana, a sytuacja badawcza niekorzystna. Autorka kamufluje to przecelną ekwilibrystką, ale wątpliwości jak były, tak są. Zwłaszcza że akurat w takiej sondzie zawsze przeważa kryterium lojalności respondentów wobec *swoich* bibliotekarek; żeby to zneutralizować, należałoby przepytąć tysiące osób. Test chi-kwadrat w tym wypadku to pic na wodę.

Dlatego dosyć wysokie oceny nauczycielskie nie wyglądają na dobrze uzasadnione. Sama autorka też zresztą nie ufa im w pełni. Zapewne więc taki sondaż należało przeprowadzić inaczej.

Natomiast nie wiadomo, co mogłoby uzasadnić tekstową opinię, że programowe zmiany w szkolnictwie – a konkretnie niegdysiejsza likwidacja ścieżek edukacyjnych – nie utrudniły udziału szkolnych bibliotekarzy w szkolnych procesach kształcenia. Oczywiście, że wszystko uległo skomplikowaniu. Jak komuś odbierze się talerz, no to nie ma na czym jeść.

Ewa Jabłońska-Stefanowicz, ale pod kompletnie mylącym tytułem, wypowiada się na temat funkcjonowania **e-booków** w Polsce. Wiadać, że to jest obszar niszowy: ok. 3% rynku książki. Zresztą nigdzie na świecie szafu nie ma. Ale niby czemu miałyby to oznaczać *zamrożenie* – trudno zgadnąć. W dodatku przywołane, śladowe i niepewne wypowiedzi kilku skonsternowanych wydawców oraz bliska zeru tabelka do żadnych istotnych wniosków nie upoważniają. Za dużo jest gołosłownych przypuszczeń.

Nasza produkcja e-bookowa to głównie publikacje fachowe i edukacyjne. Lecz o wątpliwościach funkcjonalnych nie ma w tekście nic, a to problem zasadniczy. Natomiast beletrystyka i książki dla dzieci pojawiają się w tej postaci rzadko i głównie jako wtórники edycji drukowanych. Ogólny obraz jest mało klarowny.

Z kolei sugestia, jakoby e-booki miały z dystrybucji książki wyeliminować ogniwo **pośrednika** (a biblioteki? To ma być opinia bibliotekoznawczyń?) – to nieporozumienie. Nastąpiła **automatyzacja zastępcza**, a nie anulacja: to coś zupełnie innego. Dzisiaj zresztą – zjawisko powszechne⁴.

⁴ R. Susskind, D. Susskind, op.cit., s. 45.

Jak w każdym zbiorze wieloautorskim – to jest już prawidłowość nieuchronna – również w tym tomie znalazły się teksty nietrafione. W czytaniu ewentualnie do pominięcia, lub nie.

Katarzyna Jamrozik pisze o badaniach nad jednodniówkami w ostatnim dziesięcioleciu (?) w Polsce. Po co i dlaczego wymyślił ktoś doktorantce taki temat **teraz**? Jest to zresztą tylko nieklarowne sprawozdanie detaliczne, co kto o tym napisał – bez jakichkolwiek cech postępowania naukowego. Typowy skok po punktację.

Nie do zrozumienia jest podstawa i cel doniesienia **Elżbiety Herden** oraz **Ewy Jabłońskiej-Stefanowicz** o e-bookach oraz o ich ewidencji w „Bibliografii Dokumentów Elektronicznych” BN. To nie jest żadna analiza, lecz tylko chaotyczny i powierzchowny rejestr wrywkowych odnotowań, na podstawie zrzutów z monitora, który do niczego nie upoważnia. A już na pewno nie do tupeciarskiego zarzutu, że Biblioteka Narodowa nie daje sobie z tą ewidencją rady. Trzeba jednak mieć znacznie głębsze pojęcie o funkcjonowaniu bibliotek, żeby im przypinać łatki. Niestety, często przewija się takie niepotrzebne, akademicko-bibliologiczne zadufanie, które generalnie psuje relacje pomiędzy bibliotekami a instytucjami inb. Błąd, że redakcja tomu to przepuściła.

No i niestety, muszę też napisać, że pomyłką jest wypowiedź **Bogumiły Staniów** o popularnonaukowej serii książek dla młodzieży z lat 50. „Biblioteka Młodych Miczurinowców”. W autorskim założeniu miał to być sygnał kiepskiego pomysłu na ożenek popularyzacji wiedzy z ideologiczną indoktrynacją. Taka seria rzeczywiście istniała – ukazało się 15 książek, w nakładach 5–20 tys. egz. – ale sam **przykład** został wybrany absolutnie fałszywie.

Stalinowski okres PRL-u był, jaki był. Ale młodsze pokolenia mają o nim tylko *niby-wiedzę* z karykaturalnego zasłyszzenia i wszystko się tam demonicznie infantyлізуje. Z rzeczywistością nie ma to za wiele wspólnego, a z nauką w ogóle nic. Bo nauka to ani politykowanie, ani politykierstwo.

Owszem, ideologizacja łała się strumieniami. Nawet w książkach popularnonaukowych i innych usiłowano doklejać pochwały komunizmu i politycznych ówczesnych sojuszy. Ale nigdy nie było, ani nie jest tak, że to, co napisane, odbiera się literalnie i że ma to bezwzględnie instrumentalne skutki bezpośrednie.

W tamtych latach bowiem już na samo hasło **Miczurin** w Polsce tarzali się ze śmiechu wszyscy w wieku od 4 do 104 lat. I to był efekt główny, obok milionów dowcipów. „Miczurin skrzyżował psa z jabłką, więc odtąd sama się podlewała i szcekała na złodziei. Połączył też jeża z dżdżownicą i wyszedł mu drut kolczasty – mobilny”. Oraz osiągnięcie absolutnie szczytowe: „instalacja ławicy ryb w kurniku zapewniła stałe

dostawy śledzika po japońsku”. Kogo więc, w takiej otocze, mógłby zideologizować szalony krzyżownik?

Autorkę zwiódło nadmiernie formalne, czysto księgoznawcze podejście do książek jako do przedmiotów oraz narzędzi, z pominięciem natomiast zawartości, a w takim zakresie rozważań to istotne nieporozumienie. Oraz zawiodła intuicja. Wśród wyliczonych tytułów z tej serii jest bowiem książka naszego najlepszego popularyzatora wiedzy o zwierzętach, wspaniałego dyrektora warszawskiego Zoo, **Jana Żabińskiego** – którą i dzisiaj można przeczytać z zainteresowaniem. I co: nic to nie dało do myślenia?

Muszę więc w całości zdezaktywować hipotezę Bogumiły Staniów, a szczególnie przykład. Moja generacja przejmowała wiedzę od Jana Żabińskiego. Natomiast z Miczurina robiła sobie jaja.

W zeszycie jest kilka omówień materiałów niszowych. To pozytywne powiadomienie, promocja oraz zaproszenie do ewentualnej dyskusji.

Tom zamyka ciepłe i mądre wspomnienie **Ewy Repucho** o wrocławskim profesorze **Januszu Sowińskim**, którego już z nami nie ma. Odchodzimy: taka jest nieuchronna kolej rzeczy. Jeżeli więc na pożegnanie zechce ktoś, z sympatią, ale rzeczowo, skreślić kilka spolegliwych zdań, to już nic lepszego zrobić nie można.